

Motoryczność, siła, świeżość, ciągły ruch, ciągła zmienność i pulsujący rytm – tak można by najkrócej scharakteryzować napisaną w 1952 roku *Małą uwerturę* Stefana Kisielewskiego. Choć została skomponowana w czasie, gdy Polska tonęła w mrokach stalinizmu, ma w sobie młodzieńczą energię. Na pierwszy rzut ucha można by pomyśleć, że jest ilustracją pełnego napięcia sensacyjnego, kryminalnego albo przygodowego hollywoodzkiego filmu. To moje skojarzenia, bo znakomita teoretyczka muzyki Małgorzata Gąsiorowska, autorka biografii Kisielewskiego, w *Małej uwerturze* usłyszała przede wszystkim klimat uwertury romantycznej, szukając w niej nawet podobieństw do uwertury do *Oberona* Carla Marii von Webera. Może zresztą jedno z drugim się nie wyklucza, bo przecież gdyby nie muzyka romantyczna, nie byłoby muzyki filmowej.

Tak się czasem losy twórców muzyki plotą, że historia, na tle której tworzyli, której byli częścią przyćmiewa artystyczne walory ich dzieł. Zdecydowanie tak było w przypadku Kisielewskiego, który kompozytorem jest tylko dla niektórych – dla innych pozostaje przede wszystkim jedną z najbarwniejszych postaci PRL-u, sypiącym anegdotami jak z rękawa, zjadliwym publicystą, obdarzonym ostrym, ironicznym i nader bolesnym dla niektórych piórem. Warto pamiętać, że w okresie, w którym powstała *Mała uwertura* socjalistyczna ojczyzna nieraz chciała dać Kisielowi nauczkę i poskromić jego ostry język. Wszak został usunięty z Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie, gdzie wykładał przedmioty teoretyczne. Zlikwidowano na pewien czas pismo "Ruch Muzyczny", którego był pierwszym powojennym redaktorem naczelnym. Wykluczono go z Sejmu, gdzie był posłem koła katolickiego „Znak”. Zakazano mu publikacji felietonów w katolickim „Tygodniku Powszechnym”. Swoje książki musiał wydawać pod pseudonimem w podziemnym obiegu. No i wreszcie jego muzyka była sankcjonowana i nie grywano jej w najważniejszym w tamtych czasach obiegu, czyli obiegu filharmonicznym. Dzisiaj powoli ta twórczość wraca, także za sprawą takich projektów jak Tutti.pl, promujący wykonawstwo muzyki polskiej. W jego ramach dzisiejszy koncert się odbywa.

Padło już nazwisko Stalina, które przecież jest kluczowe, gdy mówimy o drodze twórczej Dymitra Szostakowicza. To na jego dorobek, zdrowie i psychikę wpłynęło nieomal śmiertelne tango, które zatańczył z czerwonym carem. Pierwszym poważnym akordem do niego była premiera opery *Lady Makbet mceńskiego powiatu* i straszliwa, ostra, nieznaną litości i rozumu komunistyczna krytyka, która posypała się na Szostakowicza po spektaklu. Jej bodaj najważniejszym przykładem był artykuł w „Prawdzie” o tytule *Chaos zamiast muzyki*. Niepodpisany, a więc – paradoksalnie – wiadomo, że autorstwa ojca wszystkich dzieci, jak pewnego razu napisał nadgorliwy apologeta Stalina. Co w tym artykule było? A na przykład takie przenikliwe sformułowania: „Ta muzyka chrząka, sapie, jęczy, dyszy, aby jak najdokładniej przedstawić sceny erotyczne w możliwie najwulgarniejszej postaci. Słuchacz z miejsca zostaje zaatakowany łoskotem celowo dysharmonicznych dźwięków.”

Zmasowany atak na Szostakowicza mógł się zakończyć fatalnie – kompozytor mógł podzielić los artystów wysłanych do Gułagu, jak Mandelsztam, Babel czy Meyerhold. Tak się jednak nie stało. Zamilkł na dwa lata, wycofał swoją *IV Symfonię* ze strachu, że podzieli ona los *Lady Makbet* i przygotowywał muzyczną samokrytykę, czyli swoją *V Symfonię*. Jej premiera odbyła się w najmroczniejszych czasach stalinowskich czystek, czyli w 1937 roku pod batutą wówczas młodego i przecierającego szlaki wielkiej kariery Eugeniusza Mrawińskiego. Miała ona nosić podtytuł „praktyczna odpowiedź artysty sowieckiego na sprawiedliwą krytykę”. W pewnym sensie nią była – Szostakowicz uprościł język muzyczny, nawiązał w większym stopniu do klasycznych tradycji swoich poprzedników, jak Beethoven, Brahms czy Czajkowski i zakończył całość w jasnej, triumfalnej tonacji D-dur, choć najbliżsi Szostakowicza wiedzieli, że tonacja durowa wcale u niego nie musi oznaczać optymistycznego zakończenia. Dzieło okazało się sukcesem – podobno oklaski trwały blisko pół godziny, a przychylnie recenzje sprawiły, że wina została zmasowana. W ten sposób ukonstytuowało się owo upiorne tango. Jak pisze Michał Głowiński

„Szostakowicz nie tylko spętany był totalitarnymi sieciami, jednocześnie znalazł się w świecie absurdu, był prześladowany i wynoszony ponad innych, stawiany za wzór, hołubiony przez najwyższych dostojników reżimu. Stał się przedmiotem najosobliwszej z możliwych dialektyk: niemal równocześnie traktowano go kijem i marchewką, poddano bezwzględnej tresurze i oddano hołdy, był niemal w tym samym czasie chlubą sztuki radzieckiej i jej zakatą. Kompozytor na totalitarnej huśtawce, zakreślającej łuki od nieba do piekła.”

Pomiędzy *Małą uwerturą* Kisielewskiego a *V Symfonią* Szostakowicza usłyszemy kompozycję jak najbardziej współczesną, a jej jak najbardziej żyjącego twórcę zobaczymy na scenie. Mowa o Konstantinie Bojarskim i jego *Konercie na altówkę*. Bojarski urodził się na Kaukazie, ale jego rodzina w 1990 roku wyemigrowała do Wielkiej Brytanii, gdzie ukończył prestiżową Yehudi Menuhin School. Jest nie tylko czynnym instrumentalistą, muzykiem orkiestrowym – jednym z koncertmistrzów Royal Opera House w Londynie, solistą, ale także kompozytorem, mającym na swoim koncie rozmaite dzieła, w tym operę, muzykę baletową czy kompozycje kameralne. W tej podwójnej roli instrumentalisty i kompozytora wystąpi właśnie dzisiaj. Towarzyszyć mu będzie Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Śląskiej pod batutą Hobarta Earle'a, pod którego kierownictwem odbyła się w Odessie premiera *Koncertu*.

**Mateusz Ciupka („Ruch Muzyczny”)**